



Kryminał z myszką

43

Letnia przygoda

Kazimierz
Korkozowicz

Kazimierz Korkozowicz

LETNIA PRZYGODA

Kryminał z myszką – Tom 43

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67562-28-7

Copyright © Tomasz Korkozowicz

Tekst: MON, Warszawa 1988

Pociąg osobowy relacji Gdańsk–Hel – dla podróżnych udających się do Wejherowa z przesiadką w Redzie – składał się ze starych, wysłużonych wagonów i krótkiej lokomotywy z wysokim kominem. Zbyt nie spieszył, mimo że większość pasażerów, zwłaszcza tych młodszych, okazywała podniecenie. Ich ubiory, jak i bagaże umieszczone na siatkach, zdradzały przybyszy z głębi kraju, letnia zaś pora oraz radość okazywana z powodu bliskości morza pozwalały domyślać się letników. Różnili się tym od miejscowych kobiet, mimo upału okrytych ciemnymi chustami, oraz mężczyzn w granatowych czapkach ze sztywnymi otokami i małym daszkiem.

W pewnej chwili od strony okna rozległy się okrzyki wyglądających przez nie chłopców: O jest! Morze! Morze!

Daum skierował wzrok w ich stronę i istotnie ujrzał skrawek rozległej, szarogranatowej przestrzeni, ostrą linią odcinającej się od bładniebieskiego nieba. Znikł jednak zaraz zakryty pasmem piaszczystych wzgórz.

Wkrótce pociąg zaczął zwalniać, a po chwili zatrzymał się z krótkim szarpnięciem. Zamiast stukotu kół słyhać było tylko sapanie lokomotywy, jakby utrudzonej zbyt szybkim, jak na jej stare lata biegiem.

Daum otworzył drzwi przedziału i zeskoczył na peron. Budynek stacyjny znajdował się po lewej stronie toru. Był to mały, odrapany, kryty papą barak z białą tablicą na dachu i czarnym napisem – Gdynia. W pobliżu stała jakaś szopa, zapewne kolejowy magazyn, ale dalszy widok zasłaniały drzewa otaczające stację.

Marcin wraz z grupą letników skierował się do pobliskiego przejazdu, po przejściu pociągu zagrodzonego jeszcze biało-czerwonym drągiem. Nieco w głębi ujrzał wysokie wzgórze ze schodami na jego stoku, wiodącymi do stojącej na szczycie willi krytej czerwoną dachówką. Jak dowiedział się potem, znajdował się tam urząd pocztowy. Owe schody, przeklinając ich liczbę, musiał pokonywać jeszcze nieraz, by nadawać reportaże do gazety, która wysłała go do tej, mało jeszcze znanej czytelnikom, nadmorskiej miejscowości.

Jej domy rozciągały się po drugiej stronie toru. Daum minął przejazd i wkrótce znalazł się wśród zabudowań krętej drogi, która awansowała już do miana ulicy Starowiejskiej. Ruszył nią z walizką w rękę.

Nie miał zapewnionej kwatery i był głodny. Tym pierwszym brakiem niezbyt się przejmował będąc z natury optymistą, ale żołądek dopominał się o natychmiastowy zasiłek. Toteż postanowił przede wszystkim zaspokoić jego życzenie.

Stary Kaszub z fajką w zębach stał oparty o płot, przyglądając się ciągnącym z dworca przyjezdnym. Daum przystanął i zagadnął go okraszając pytanie uśmiechem:

– Gdzie tu można wziąć coś na ząb?

Został zmierzony badawczym spojrzeniem wyblakłych oczu, ledwie widocznych spod ciężkich powiek. Potem pomarszczona ręka wyjęła z ust fajkę i padło krótkie pytanie:

– Cosz godosz?

– Pytam, gdzie mógłbym coś zjeść... etwas zum essen – dorzucił na wszelki wypadek.

– Na końcu wegii, u Skwiercza... – Fajka powędrowała z powrotem pomiędzy żółte zęby, a ręka z odchylonym kciukiem wskazała dalszy kierunek.

Daum skinął głową i ruszył dalej. Po pewnym czasie doszedł do placu. Przed sobą ujrzał skrawki morza widoczne między chaotycznie rozrzuconymi chatami, z lewej, na rogu, wznosił się piętrowy, murowany, widać niedawno wzniesiony budynek. Z prawej, nieco dalej, parterowy dom z napisem „Restauracja” przesłaniał ginącą za nim, poprzeczną ulicę.

Pchnął drzwi wejściowe z nadzieją, że mimo niepozornego wyglądu wewnątrz będzie odpowiadało szyldowi.

Spotkało go jednak rozczarowanie, gdyż znalazł się od razu w izbie wprawdzie obszernej, ale z glinianym klepiskiem zamiast podłogi i tylko dwoma długimi stołami, przy których stały zwykłe ławy. Całe to wyposażenie uzupełniał jedynie znajdujący się w głębi

szynkwas. Izba była pusta, poza dwoma mężczyznami, sądząc z ubiorów, miejscowymi rybakami, i korpulentną kobietą siedzącą za ladą bufetu.

Mocno zawiedziony postawił walizkę na ławie i ruszył do niej.

– Mógłbym dostać coś do zjedzenia? – spytał, ciekaw czy nie spotka go kolejny zawód.

– Jajecznicą może być... – mruknęła w odpowiedzi kobieta obrzucając go obojętnym spojrzeniem.

– Tylko? Nic poza tym? Przecież ryb chyba wam nie brakuje?

– Pora obiadu już dawno minęła. Co było, to poszło. Gości teraz sporo.

– No cóż, niech zatem będzie jajecznicą. Ale przynajmniej z sześciu jaj – zastrzegł się.

Kiedy wkrótce otrzymał posiłek, zagadnął podającą mu talerz gospodynię:

– Właśnie przyjechałem i nie mam kwatery. Może pani mogłaby mi coś wskazać?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Teraz, latem? Już chyba i dla myszy miejsca się nie znajdzie.

– Podobno jest tu jakiś dom kuracyjny z pokojami do wynajęcia?

– U Bączkowskiego? Jego goście zamawiają pokoje na pół roku przed sezonem!

Odeszła od stołu pozostawiając go na pastwę rozczarowania. Zatrzymała się jednak przy siedzących mężczyznach i zagadnęła jednego z nich:

– Te, Paul. Ponoć twoi już wyjechali? Masz po nich wolne pomieszczenie?

Zagadnięty uśmiechnął się.

– Wolne nie stało nawet pół dnia!

Daum zamówił piwo i dopiero teraz zaczął na dobre zastanawiać się, co z sobą począć. Te niezbyt wesołe rozmyślania przerwały mu słowa rzucone od drugiego stołu:

– Panie, a sami jesteście?

Obrócił się do pytającego, podniecony obudzoną nadzieją.

– Sam. Jeśli nie liczyć walizki.

– Hm... To może by... – Rybak zawahał się, ale Marcin już porwał kufel i bezceremonialnie ruszył ku siedzącym.

– Pozwolicie, że się przysiadę? – zagadnął i nie czekając na odpowiedź zajął przy nich miejsce.

– Mielibyście coś dla mnie? – spytał rozradowany. – Nie jestem wymagający, bo grozi mi nocleg na plaży, a nawet koca z sobą nie wziąłem.

– Skąd przyjechaliście?

– Z Warszawy. Jestem dziennikarzem, piszę do gazety – dodał wyjaśniająco nie wiedząc, czy zostanie zrozumiany. – Chcę opisać, jak tu życie i pracę w budującym się porcie, bo ludzie mało co jeszcze wiedzą o Gdyni.

– Będziecie nas opisywać?

– No właśnie! Napiszę też, że dzięki waszej pomocy nie zostałem bez dachu nad głową – uzupełnił podstępnie.

– Izba jest na stryżku i mała. Nie wiem, czy będzie dla was odpowiednia. Ma wprawdzie wyro, jest i stolik, a przyodziewek moglibyście wieszać w naszej szafie.

– Nie szkodzi. Aby było na czym spać i gdzie pisać.

– Ale myć się trzeba przy studni...

– W moim wieku to nie przeszkadza.

– Nie gadaj, Józef – odezwała się zza lady gospodyni, przysłuchując się rozmowie. – Marta znajdzie jakąś miednicę i dzbanek na wodę.

– Więc chodźcie obejrzeć – zdecydował się rybak. – To blisko...

Dom, dostatniejszy niż Daum się spodziewał, istotnie położony był niedaleko. Stał również przy placu, ale w głębi, trochę od niego oddalony, pomiędzy innymi podobnymi rybackimi chatami. Piaszczysty brzeg morza ciągnął się nieco dalej, a na nim leżące tu i

ówdzie rybackie łodzie wystawiały czarne od smoły brzuchy. Rozpięte na wysokich tykach suszyły się rybackie sieci z rzędami korkowych pływaków.

Izdebka istotnie była mała, lecz schludna. Drewnianą pryczę z siennikiem przykrywała czysta pościel, ale najbardziej uradował Marcina widok, jaki ujrzał spoza białej firanki małego okienka. Miał przed sobą majestatyczną, jakby obiecującą nieznane przygody, groźną swym bezkresem i pozornym spokojem olbrzymią wodną pustynię, ciemną, koloru dojrzałej śliwy, odciętą nieskazitelnie równą linią od dalekiej, zamglonej kopuły nieba.

Daum nigdy nie narzekał na bezsenność, a już tym bardziej nie dokuczała mu w tę pierwszą noc spędzoną na Wybrzeżu. Wstał więc późno. Myć się nie musiał przy studni, gdyż istotnie znalazła się miednica i dzbanek. Była już jednak blisko dziesiąta, kiedy zszedł po stromych schodach na dół. Zastał gospodynię w kuchni i niezbyt przekonany o możliwościach gastronomicznych poznanej już gospody, zagadnął ją po powitaniu:

- Gdzie, poza Skwiercem, mógłbym zjeść śniadanie?
- Chyba „Pod Dębem”, u Wojewskiego.
- Jest nadzieja, że poza jajecznicą dostanę coś więcej?
- Karmi dobrze. Dbą o gości, toteż teraz ma ich dużo. Ale czy jedzenie przypadnie panu do gustu, tego już nie wiem...
- No cóż, spróbuję. Daleko stąd?
- Pięćdziesiąt kroków. Po wyjściu na plac trzeba skręcić na prawo, w stronę portu. To zajazd, ma kilka pokoi, dom murowany, piętrowy. Znaleźć go łatwo, bo rośnie przed nim wielki dąb.
- A jak się idzie do portu?
- Od Wojewskiego pójdzie pan dalej tą samą ulicą. Teren portu zaczyna się od kolejowego przejazdu.

Stary, rozłożysty dąb, o na wpół zeschniętych dolnych konarach, ujrzał już z daleka. Nieduży, jednopiętrowy budynek stał nieco ukośnie do jezdni. Kilka betonowych stopni prowadziło do wejścia, za którym znajdowała się sień, a z niej drzwi do restauracyjnej sali, wyposażonej podobnie do tych, jakie spotykał w prowincjonalnych miasteczkach. Ale dostał na śniadanie parę świeżych bułeczek, równie świeże masło i wędlinę, toteż, tym razem nie zawiedziony, udał się na zwiedzanie portu.

Ulica nazywała się Portowa i była brukowana „kocimi łbami”. Z jej lewej strony ciągnął się szereg parterowych domów – pomiędzy nimi dostrzegł reklamę jakiejś piwiarni – a dalej stało kilka schludnych, widać niedawno malowanych baraków. Z prawej rozciągał się kawał piaszczystego terenu, a nieco w głębi tłoczyło się skupisko byle jak skleconych bud i klitek, o ścianach obitych dyktą ze skrzyń i dachach pokrytych różnymi kawałkami blachy. Z niektórych sterczały zardzewiałe rury, przed innymi widać było żelazne piecyki stojące w pobliżu wejść, w braku drzwi zasłoniętych płachtami starych, wystrzępionych koców.

Natomiast przy samej ulicy stał wprost na piasku mały kwadratowy baraczek kryty papą, z blaszaną rurą sterczącą nad dachem i oszklonymi drzwiami pośrodku. Nad nimi widniał napis z nazwą „lokalu” – „Café London”.

Zaciekawiony tymi objawami ludzkiej przedsiębiorczości, ale z nikłą nadzieją, Daum zajrzał do środka.

Wnętrze składało się z dwóch małych pomieszczeń przedzielonych drewnianą ścianą z przejściem bez drzwi. W pierwszym stał szynkwias obity blachą, z wygiętym ramieniem aparatu do wyszynku piwa i gablotą, w której tkwiło tylko kilka szklanych słoików z marynowanymi śledziami. Rzędy butelek z wódką zajmowały półki wiszące na tylnej ścianie. Za szynkwasem tęgi mężczyzna w rozpiętej pod szyją koszuli i zawiniętymi rękawami wycierał niezbyt czystą ścierką kufle do piwa, które wyjmował z cebrzyka wypełnionego wodą.

Poprzez otwarte przejście Daum dostrzegł cztery małe stoliki otoczone krzesłami, całkowicie wypełniające tylne, puste teraz pomieszczenie.

Niezbyt zachęcony prymitywnym wnętrzem, zaczął też wątpić w rzetelność napisu na drzwiach. Mimo to ciekaw odpowiedzi spytał:

– Czy mogę dostać filiżankę kawy?

Został obrzucony wyraźnie zdziwionym spojrzeniem.

– Kawy? No, może być, ale zechce pan poczekać. Muszę zagotować wodę.

– Niestety, mam za mało czasu. Może przy innej okazji.

Oświadczenie to spotkało się ze zdawkowym mruknięciem i Marcin znów znalazł się na ulicy.

Wkrótce na jednym z owych baraków po jej lewej stronie ujrzał tabliczkę z napisem: „Kierownictwo Budowy Portu”, a nieomal naprzeciw mały domek ze stromym dachem i szyldem obok drzwi wejściowych z nazwą firmy – Elibor. Za domkiem ciągnął się wzdłuż kolejowego toru długi, wąski plac z szeregiem szop i stertami materiałów budowlanych.

Właśnie ten tor przecinał ulicę. Po obu jego stronach sterczały w górę drażki szlabanu. Z lewej rozpościerało się obszerne pole, na którym tor rozgałęział się na szereg bocznic, zapchanych sznurami wagonów pełnych węgla, ciągnących się hen, aż do linii kolejowej.

Daum minął przejazd. Pole leżało w głębi, a od ulicy oddzielał je szereg drzewek. W perspektywie ulicy widać było skupiska baraków, stały one i z prawej strony, ale tu już gęściej i bardziej wyrównaną linią. Dalej jednak tworzyły już chaotyczną gmatwaninę, zdradzając tym doraźne przeznaczenie. Firanki w niektórych oknach wskazywały, że służą również za mieszkania.

Tylko gmach elektrowni i wieża ciśnień wznosząca się niby pionowo ustawione płaskie pudełko, stanowiły budowle przeznaczone do stałego użytkowania. Górowały ponad chaosem baraków niby dwaj pasterze nad stadem rozproszonych owiec.

Jeden z pierwszych zajmował kapitanat portu. Wkrótce po minięciu jadłodajni, którą prowadziła – o czym miał dowiedzieć się później, kiedy przyszło mu korzystać z jej usług – pani Smolińska, dostrzegł zielony szyld nad jednym z dachów z napisem: Hoygard i Szulc. Była to holenderska firma współpracująca przy budowie portu.

U krańca ulicy widać było tylko płaskie, pokryte trawą torfowisko przecięte szerokim pasem wody i dwie pracujące pogłębiarki. Na prawo, częściowo zakryte dachami, wznosiły się kontury drewnianych ścian, zbitych z jaśniejących świeżością desek.

– Co to za budynek? – zatrzymał pytaniem jednego z przechodniów.

Ten spojrział we wskazanym kierunku i objaśnił:

– To nie budynek, tylko szalunek kesonów. Holendrzy stawiają je tam, a potem holują i zatapiają wypełniając piaskiem. W ten sposób budują nadbrzeża.

– I tak powstaje molo?

– A no właśnie.

– Można to bliżej obejrzeć?

– O ile pana wpuszczą, w co wątpię, bo nie lubią, jak się im ciekawscy kręcą pod nosem.

– I starcza im piasku? I do kesonów, i zasypywania nadbrzeży?

Przechodzień uśmiechnął się.

– A bo to mało leży na dnie morza? Draga go czerpie, a potem wrzuca rurą gdzie trzeba.

Daum postanowił tym pracom przyjrzeć się później. Teraz zawrócił, ciekaw, dokąd go zaprowadzi kolejowy tor, przecinający ulicę.

Przy przejeździe stała budka dróżnika. Właśnie opuszczał zaporę, więc Marcin przeczekał, aż minie ich parowóz ciągnący od strony morza szereg pustych wagonów, po czym zagadnął kolejarza:

– Dokąd prowadzi ten tor?

Ten spojrział na niego z kpiącym uśmiechem.

– To pan nie wie? Do Szwecji.

Daum przyjął to wyjaśnienie z udaną powagą.

– Tak się nazywa najbliższa stacja?

– Dla węgla – tak...

– A dla wagonów?

– Molo, gdzie je wyładowują.

– Można tam przejść?

Strażnik tym razem okazał zdziwienie.

– A dlaczego by nie? Tylko niech pan uważa, bo o wypadek nietrudno!

– Jaki na przykład?

– Kawał węgla może spaść na głowę, potrącić kibel, a nawet zdarzyło się, że w czasie sztormu statkiem mocno rzucało, cuma pękła i jak nożem ucięła głowę marynarzowi, który właśnie przechodził!

– A więc molo nie zabezpiecza przed falą?

– Niezbyt, bo statki na razie mogą przybijać tylko po jego zewnętrznej stronie. Basen nie jest jeszcze gotów.

– W czasie silniejszych wiatrów załadunek ulega więc przerwie?

– No tak, bo odbywa się ręcznie. Kibel byłby nie do utrzymania.

Wyjaśnienie to w obecnej chwili niewiele Marcinowi powiedziało.

Ruszył torem kolejowym. Ten minął plac Eliboru i biegł dalej, już po wąskim molo, na którym starczyło miejsca tylko na jedno jego odgałęzienie.

Obrzeża mola stanowiły grube, potężne pale wbite w dno, ponad powierzchnią wody związane poprzeczną belką. Kilkaset metrów wybiegało w morze, potem skręcało pod kątem prostym i niby ramieniem obejmowało basen wewnętrzny, pozostawiając do niego szerokie wejście. Brzegów basenu nie umacniała jeszcze obudowa, do czego zapewne przeznaczone były owe przygotowywane kesony. Na końcu ramienia stała drewniana wieżyczka z okrągłą latarnią tkwiącą na szczycie.

Zewnętrzną stronę mola zabezpieczała drewniana poręcz, a przejście po sypkim piachu ułatwiał wąski, drewniany chodnik biegnący przy poręczy, która kończyła się przed miejscem przeznaczonym do cumowania statków.

Już z daleka Daum ujrzał czarny masyw stojącego tam parowca. Podeszedł bliżej, by przyjrzeć się pracującym przy nim ludziom.

Przy statku stał szereg wagonów, a wśród zajętych pracą robotników dostrzegł starszego już, krępego i nieco przygarbionego mężczyznę o mięsistej twarzy i z pożółkłymi od tytoniu wąsami. Z dosadnych komentarzy, jakimi obdarzał rodzinne stosunki niektórych z ludzi, domyślił się w nim nadzorcy.

Postanowił więc od razu skorzystać z nadarżającej się okazji. Ruszył w jego kierunku i zbliżywszy się, nie zrażony opryskliwą odpowiedzią na powitanie, zagadnął:

– Pan tu kieruje załadunkiem? Czy mogę zasięgnąć nieco informacji?

Spojrzenie, jakim został zmierzony, nadal nie było zbyt przychylne, a jednocześnie padły rzucone ostrym tonem pytania:

– Po co pan tu łązi? A w ogóle to kto pan jest i o co chodzi?

– Jestem dziennikarzem. Chciałbym bliżej przyjrzeć się załadunkowi statku i otrzymać trochę wyjaśnień.

– To znaczy pisze pan dla gazety?

– Właśnie. I przyjechałem specjalnie z Warszawy, by zaznajomić się z portem i jego pracą.

Zagadnięty rozchmurzył się i wyciągnął rękę.

– Matczak jestem. Dobrze pan trafił, bo już blisko czterdzieści lat ładuję statki.

– Aż tyle? Gdzie pan pracował przedtem?
– W Hamburgu, w porcie. Przez dłuższy czas jako doker, potem majster.
– I zmienił pan tak ogromny port na małą Gdynię?
– Ciągnęło do kraju. A że mała, to nie szkodzi, z czasem urośnie.
– Przyglądałem się dotąd pracy na statku, ale z dołu nie wszystko widać. Czy nie można by wejść na pokład?

– Statek stoi wysoko, bo załadunek dopiero się rozpoczął. Dobrze, chodź pan. –
Matczak ruszył w stronę trapu, a Daum podążył za nim.

Na pokładzie brygadzysta zatrzymał się przy relingu.

– Dalej nie będę pana prowadził, gdyż o wypadek nietrudno. Ten szyf ma tylko dwa luki, bo duży nie jest, wszystkiego półtora tysiąca. Większe mają luki po dwóch stronach masztów, ale są trudniejsze do załadunku.

– Dlaczego? Przecież chyba przy większych praca może iść szybciej?

– Dlatego, że miejsca na molo jest mało. Pół biedy, kiedy statek bierze tylko jeden gatunek węgla. Jeśli jednak różne, na przykład grys idzie do pierwszego luku, gruby do drugiego, a pozostałe biorą kostkę, stwarza to trudności z odpowiednim ustawieniem składu wagonów. Mamy wprowadzić dwa tory, ale jedną zwrotnicę, bo druga z powodu szczupłości miejsca nie na wiele by się zdała.

– Jak więc sobie radzicie?

– Wagony są odpowiednio ustawiane przez kolejarzy już na torach przetokowych, podług wskazówek pracownika firmy, który ma plan załadunku. Przed tym jednak opisuje kredą wagony wskazując, jaki zawierają węgiel. To żmudna praca, ale mimo dokładnej specyfikacji każdego transportu zdarzają się niezgodności, więc należy wleźć niemal na każdy wagon i sprawdzić gatunek węgla. Każdy zaś błąd drogo kosztuje, bo trzeba skład wyciągać, przestawiać, a przez ten czas ludzie nic nie robią.

– A więc wagony muszą być podstawione pod statek w kolejności zgodnej z potrzebami załadunku?

– Koniecznie, bo manewrować nimi nie można. Pusty wagon przepycha się ręcznie. Stojący obok jeszcze pełny podsuwa się przy pomocy łomu, którego koniec podkłada się pod koło, bo inaczej załadowanego wagonu jeden człowiek nie ruszy z miejsca. Po rozładowaniu przetaczamy puste wagony na boczny tor, aby mógł wjechać następny skład.

– Widziałem pracujących przy wagonach. A co robią ci tutaj?

– Ten przy windzie, to winczman, którego praca wymaga dużego doświadczenia. Przy zewnętrznej burcie stoi gajman. Obsługuje gajlinę, którą z powrotem ściąga bom nad luk, ale już z ładunkiem.

– A więc załadunek odbywa się tylko przy pomocy urządzeń znajdujących się na statku? Jak one pracują?

– Ta skośnie teraz ustawiona belka nazywa się właśnie bom. Jest umocowana do podstawy masztu w ten sposób, że może zataczać półkola w obie strony. Jego pozycję utrzymuje lina zwana topenantą, przymocowana do górnej części masztu. Z jej pomocą bom można opuścić zupełnie lub podciągnąć do pionu. O gajlinie już mówiłem; wreszcie do podnoszenia ładunku służy ta oto lina nawinięta na bęben windy, zwana rener. Od windy przez blok na maszcie biegnie do bloku na noku, czyli końcu bomu, skąd opada w dół. Hak na jej końcu zaczepia się o ładunek, winczman puszcza w ruch windę i towar jedzie do góry, a potem, skierowany bomem, przesuwa się ponad otwarty luk statku.

– Właśnie to widzę. Dziękuję panu za dotychczasowe wyjaśnienia. Chciałbym jednak dowiedzieć się czegoś więcej o waszej pracy, może zatem przyjmie pan zaproszenie na kufelek piwa?

Matczak uśmiechnął się.

– Czemu nie?

– Zatem kiedy?
 – Dziś nie mogę, ale może jutro, po szychcie? Kończymy o trzeciej.
 – A więc jutro po trzeciej. Gdzie?
 – U Józefa. Ma piwiarnię na Portowej, nie dochodząc do Wojewskiego. Idąc do portu zapewne pan ją widział.
 – Tak, przypominam sobie...

Daum obrócił się w stronę morza. Tym razem było niebieskoszare, pocięte smugami słonecznego blasku i horyzontem zaciągniętym siną mgiełką. W pewnej odległości od mola tkwiły nieruchomo sylwetki trzech statków. Ich czarne kadłuby, wysokie nadbudowy śródkręcia z pojedynczymi kominami, były wyraźnie widoczne.

– To kolejne statki pod załadunek?
 – Tak, stoją na redzie czekając na swoją kolej.
 – Taki postój jednak kosztuje...
 – Zależy, z czyjej winy powstał. My, to znaczy kopalnie i kolej, staramy się przestrzegać terminów dostawy. Inaczej trzeba płacić, tak jak armator musi płacić za przestój wagonów, jeśli jego szyf nie przyjdzie na czas.
 – Nie wspominał pan o załadunku. A i on może opóźnić postój statku?
 – Taki wypadek mnie jeszcze się nie zdarzył...

Daum spojrział z kolei w stronę brzegu pokrytego gmatwaniną szop i baraków. Ponad ich dachami dostrzegł odległe skupiska drzew otaczających jakieś zabudowania i jasne ściany kościoła o pojedynczej wieży, z tej odległości drobne niby ziarna grochu.

– Co to za wieś? Zapewne stoi na wzgórzu, skoro ją widać?
 – To Oksywie. Tam marynarka wojenna buduje port dla siebie.
 – Pracujące drągi musiały przeciąć z nią komunikację?
 – Istotnie, droga teraz jest dłuższa, bo trzeba iść przez torfowiska. Ale jak posuną się dalej z basenami w głąb łądu, zapewne wybudują jakąś okrężną. Mało mnie to jednak obchodzi. – Matczak wzruszył ramionami.
 – A więc pan nie mieszka w Oksywiu – stwierdził Daum z uśmiechem.
 – Nie, w Rumii. Dojeżdżam koleją, ale to niedaleko.

Po obiedzie Daum wyruszył na zwiedzenie drugiej części osiedla; tej, gdzie dominowała nie praca, lecz odpoczynek i rozrywka. Granicę tych wyraźnie odrębnych obszarów, trudu codziennego dnia i odpoczynku, stanowił plac Starowiejski, w którego pobliżu mieszkał, i położony nieco dalej, w kierunku przeciwnym niż port, wydłużony skwer. Od strony morza zamykał go piętrowy, drewniany budynek otoczony grupą starych drzew: miejscowy dom kuracyjny, potocznie zwany kurhauzem. Z przeciwległej strony ograniczała go poprzeczna ulica Świętojańska, częściowo zabudowana, z zagrodami autochtonów. Niejako przedłużenie skweru stanowiła rozpoczynająca się stąd ulica 10 Lutego. Po jego zachodniej stronie stało parę chat, a między nimi czerwieniały zręby jakichś nowo wznoszonych budowli. Naprzeciw rozciągało się puste pole, za nim zaś wznosił się stok porośniętego młodą sośniną wzgórza, z dużym, widocznym z daleka, drewnianym krzyżem na szczycie. Od tego wzgórza zaczynało się niedawno powstałe, niejako odrębne osiedle, zwane Kamienną Górą. Tworzyły je luźno rozrzucone wille, które na letni pobyt stawiali co zamożniejsi mieszkańcy z głębi kraju.

Przy Świętojańskiej, niemal u stóp wzgórza z krzyżem, wznosił się nieduży kościółek dobrze dostosowany swym wyglądem do wiejskiego otoczenia.

Przy samym niemal domu kuracyjnym, od strony Kamiennej Góry, stał biały, niski, ale obszerny budynek lokalu restauracyjno-kawiarnianego „Morskie Oko”. Od strony morza otaczało go wysokie, murowane półkole z płaskim dachem tworzącym taras z rozstawionymi na nim stolikami. Był obwiedziony balustradą, a wewnątrz półkola zajmował zbudowany

bezpośrednio na ziemi parkiet taneczny, do którego w kilku miejscach prowadziły z tarasu schody.

Od domu kuracyjnego biegł w morze pomost spacerowy służący jednocześnie jako przystań dla statków żeglugi przybrzeżnej, a wzdłuż nadmorskiej plaży w stronę Kamiennej Góry ciągnął się deptak obsadzony szeregiem młodych jeszcze drzewek. Prowadził on do hotelu i restauracji „Riviera”, najbardziej ekskluzywnego lokalu miejscowości. Za nim wznosiły się nadbrzeżne wzgórza przedzielone kotliną dochodzącą do samego morza.

W połowie deptaku stał przy ciągnącej się za nim plaży długi, drewniany budynek kąpieliska, z kabinami dla plażowiczów, potocznie zwany Łazienkami. Jeszcze jeden hotel z rozciągającym się przed nim amfiteatrem i koncertową muszlą, „Kaszubski”, uplasował się już wyżej, bo na stoku Kamiennej Góry.

Zmęczony całodzienną włóczęgą przeklinał swą dziennikarską zachłanność, z jaką chciał jak najszybciej wszystko obejrzeć. Teraz szukał już tylko miejsca odpoczynku i szklanki zimnego napoju. Ruszył więc w stronę „Morskiego Oka”, zwabiony dochodzącymi stamtąd dźwiękami orkiestry.

Afiszki przy wejściu głosiły, że gra zespół Petersburskiego. Kiedy znalazł się na sali, przestał marzyć o ugaszeniu pragnienia. Brakło nie tylko wolnego stolika, ale nawet jakiegoś nie zajętego krzesła. Natomiast na parkiecie panował taki ścisk, że tańczący ledwie mogli się poruszać, stłoczeni para przy parze.

Nieco zdziwiony tak wielkim zamięłowaniem do tańca w takim gąszczu, i do tego przy trzydziestostopniowym upale, skierował się ku wyjściu na taras.

I tu nie było lepiej, ale idąc między stolikami dostrzegł samotnego mężczyznę siedzącego nad szklanką piwa.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI